

PAWEŁ BEREŚEWICZ

# Pomcia

LEWANDOWSKA





# ROBERT LEWANDOWSKI

Zadzwonił telefon. Robert Lewandowski odsunął miskę z płatkami i odebrał:

- Halo?
- Dzień dobry. Czy to pan Lewandowski?
- Tak, a o co chodzi?
- ROBERT Lewandowski?
- Zgadza się.
- TEN Robert Lewandowski?
- No raczej. Przecież nie tamten.
- To dobrze, bo ja nie do tamtego.
- Ależ czemu? Może do tamtego też czasem warto.
- E tam! Piłka nożna to nie moja bajka.



A tamten drugi Robert Lewandowski to ja. Ten pierwszy właściwie. Dla mnie tamten to tamten. Też nie byle kto, przyznaję. Nie da się ukryć, że zna się na piłce nożnej. Ja słynę z czegoś innego. Z córki. Trafiła mi się naprawdę niezwykła. „Z pozdrowieniami, tata Pomci” – podpisuję się zawsze, ilekroć fani podtykają mi plakaty i zdjęcia.

– Ale to właśnie ja jestem od piłki nożnej!  
– Tak? Aha! Czyli pan jest jednak tamten! A nie, to przepraszam! Pomyłka.

Robert Lewandowski, wyraźnie zdenerwowany, wepchnął telefon do kieszeni. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Najwyraźniej z kimś go mylono. Z jakimś innym Robertem Lewandowskim. Robertem Lewandowskim, z którym wszyscy nagle chcieli rozmawiać. To irytujące nieporozumienie całkiem popsuło mu dzień. W pracy był tak rozkojarzony, że strzelił tylko dwa gole w osiemdziesiąt siedem minut, zamiast jak zwykle pięciu w piętnaście.






# JAK POMCIA ZOSTAŁA POMCIA,

Prócz mojej córki, Lewandowskich jest na świecie prawie sto tysięcy. W Polsce łatwiej spotkać tylko Nowaka, Kowalskiego, Wiśniewskiego, Wójcika, Kowalczyka i Kamińskiego. Za to imię daliśmy dziecku – pani Lewandowska i ja – bardzo rzadkie. Kto wie, czy w ogóle nie najrzadsze. Pomylenie z kimś innym raczej naszej córce nie grozi.

Urodziła się w styczniu. Ziąb panował na świecie. Mróz, śnieg po kolana. Blaszane rynny i parapety pozapuszczały lodowe brody. Zmrożona para malowała na szybach białe bohomy. Już parę dni wcześniej



odkręciliśmy do ostatnich kreseczek regulatory w grzejnikach, żeby dziecko miało w domu ciepło na dzień dobry. W komódce i tak na wszelki wypadek czekały trzy grube kocyki.

Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, była mała, różowa i pomarszczona jak mopsik. Nie miała ani jednego włoska i ani jednego imienia. Brakiem tego pierwszego wcale się nie martwiłem – wiedziałem, że wystarczy poczekać. Ale imię to całkiem inna sprawa. Może się zdarzyć, że samo nie wyrośnie. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak szukać używanego. Na przykład w kalendarzu.

Po ukończeniu dwóch dni, trzynastu godzin i dwudziestu jeden minut nasza – na razie jeszcze – bezimienna córka przeprowadziła się ze szpitala do domu. Przeniosłem ją przez próg i żeby nie tracić czasu, od razu zacząłem oprowadzanie. Im szybciej dowie się, co jest czym i do czego służy, tym lepiej.

– Tu jest duży pokój – powiedziałem na początku zwiedzania i dla jasności powtórzyłem: – Du-ży.

Duuuuuuuży. Mama duża i pokój duży, jasne? A tu mały. Ma-ły. Jak twoja nóżka. Rozumiesz?

Córka patrzyła błędnie, przytłoczona ogromem wiedzy, a ja pomyślałem, że chyba zdejmę polar, bo i ogrzewanie, i grube ubranie to jednak za dużo nawet w środku zimy.

– Ciepło tu jakoś – mruknąłem i poprosiłem panią Lewandowską, żeby na chwilę pottrzymała dziecko.

Zdjąłem bluzę i z powrotem wziąłem małą na ręce. Następną sprawą do omówienia było korzystanie z łazienki.

– Tak się odkręca kran – pokazywałem. – A tak się spuszcza wodę. Naciskasz, leci. Sprytne, co? Czy myśmy trochę nie przesadzili z tym ogrzewaniem, kochanie? – szepnąłem ukradkiem do pani Lewandowskiej.

Mimo że byłem w samym podkoszulku, czułem żar na policzkach i wilgoć na skraju fryzury. Lustro nad umywalką zaparowało, jakby wrzątek lał się z prysznicza.





Zanim przeszliśmy do kolejnych punktów zwiedzania, przestawiłem kaloryfery na niższą temperaturę. Niemowlę niemowlęciem, ale to miał być dom – nie szklarnia.

W kuchni zwięzłe wytłumaczyłem córce, do czego służy nóż, durszlak i mikrofalówka.

– A tu – pokazałem na stół – się je.  
Je – powtórzyłem i wyrysowałem palcem kreskę od buzi do brzuszka. – Jjjjje. Mniam, mniam. Tobie też jest tak gorąco? – mruknąłem na stronie do pani Lewandowskiej. – Upał jak w środku lata!

Moja żona przyznała mi rację i całkiem

pozakręcała grzejniki. Ja tymczasem, zakończywszy prezentację mieszkania, podszedłem z córką do okna.

– Zobacz – powiedziałem. – Tam jest podwórko. Ścieżki, piaskownica, huśtawki. Tam będziesz chodziła na spacer. Spacer, zapamiętaj to sobie, są dobre dla zdrowia.

Po szybach, jeszcze przed chwilą pokrytych lodowymi malunkami, ściekały na parapet leniwe krople wody. Czuję, że takie same płyną mi po plecach.

– Trzeba cię będzie ciepło ubrać – ciągnąłem, co jakiś czas oblizując wyschnięte wargi. – W kombinezon, czapkę, rękawiczki. – Poruszyłem barkami, żeby odkleić od skóry mokry podkoszulek. – Bo tak się, widzisz, składa – dmuchnąłem sobie w grzywkę – że mamy zimę, a w zimie – przyłożyłem policzek do chłodnego szkła – jest bardzo, ale to bardzo zimno. – Otarłem córką pot z czoła i jęknąłem do żony: – Weźmiesz małą na chwilę? Muszę się napić wody!

Kiedy kilka chwil później wróciłem do pokoju, buchnęła na mnie fala afrykańskiego gorąca. Pani Lewandowska siedziała na kanapie z dzieckiem przy piersi. Oddychała ciężko. Pot perlił jej się na czole.

– Uff! – sapnęła. – Możesz mnie trochę powachlować? To dziecko to istna pompa ciepła!